

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Średniowiecze w polskiej powieści współczesnej

N arazie i u nas jeszcze pokutuje przesąd, że wieki średnie to epoka najmniej w dziejach ludzkości chwalebna, epoka zupełnego upadku kultury, czas barbarzyństwa, dzikości pierwotnych instynktów i ciemnoty, — istne „mare tenebrarum“, zawieszone w historii na hańbę imienia ludzkiego między świetlanymi okresami antyku i renesansu.

Wprawdzie dostrzegamy już pewną reakcję, z dnia na dzień coraz to przybijającą na siłę, reakcja ta jednak nie wychodzi prawie wcale poza rewizję poglądów na średniowieczny ustrój społeczny, gospodarczy; poza apoteozę hierarchii i autorytetu, tak właściwych duchowi średniowiecza. Na uboczu jednak zostaje jeszcze całe bogactwo elementów politycznych i kulturalnych, heroiczne zmaganie się różnych cywilizacji (germańsko-romańskiej, greckiej, bizantyńskiej, muzułmańskiej), a przede wszystkim bujność, barwność i bogactwo nie tylko przeżyć zewnętrznych, ale i psychiki człowieka średniowiecznego, o którym śmiało można powiedzieć, że pogłębiony przez chrześcijaństwo, odmieniony przez ideały rycerskie w zakresie podstawowych instynktów walki i miłości, — stanowi świat duchowy, o wiele bardziej skomplikowany, niż dusza człowieka antycznego.

Ta niepopularność średniowiecza w naszych czasach odbija się i na literaturze pięknej. Powieściopisarstwo dzisiejszej światowej miary pochwalić się może jednym tylko arcydziełem, mającym za temat średniowiecze — powieścią o „beziemiennym kobiecie“ średniowiecznej, „Krystyną, córką Lawrausa“. Sygrydy Undset. „Beziemienna kobieta“ — dłałgo trzeba nazwać bohaterkę epopei powieściowej znakomitej pisarki norweskiej, ponieważ dzieje Krystyny, to nie dzieje jakiejś indywidualnej psychiki kobiecej, nawet nie opowieść o życiu i duszy kobiety w pewnej, historycznie ściśle umiejscowionej epoce — nie, to studium duszy kobiecej na tle tego wszystkiego, co nazywamy duchem, atmosferą, pojęciami i obyczajami średniowiecza. A przecież średniowiecze (według utartej chronologii) to 1000 lat!

Polskie powieściopisarstwo historyczne doby powojennej, gdy chodzi o tematy średniowieczne, nie imponuje wprawdzie ilościowo, ale zato jakościowo. Ze średniowieczem w polskiej literaturze współczesnej łączy się kilka nazwisk pierwszorzędnych, odgrywających czołowe role w tych czy innych działach literatury pięknej.

Chronologicznie pierwszą, bo tuż po wojnie wydaną jest „nie-powieść“ średniowieczna Berenta „Żywe kamienie“. Ogromne są walory ściśle estetyczne tego utworu: umiejętne i subtelne wczucie się w ducha epoki, nieporównana zdolność stylizacji, — słownictwo archaizowane odpowiednio do epoki i zakresu pojęć wyrazowych ówczesnych ludzi. Z punktu widzenia jednak rozwoju powieści historycznej, „Żywe kamienie“ to jeszcze jedna niespełniona zapowiedź, nie tylko bowiem kamienie nie ożyły, ale zamarło, skamieniało to wszystko, co było żywe.

Być może, Berent i nie miał zamiaru pisanie powieści historycznej, chodziło

mu tylko o ornamentacyjne odtworzenie kultury średniowiecza, przede wszystkim kultury artystycznej, i z tego punktu widzenia nic mu nie można zarzucić; — miłośnika jednak powieści historycznej ogarnia żal, że tak wspaniałe odmalowana scenerja pozostaje tylko scenerją, na tle pięknej berentowskiej dekoracji nie ukaże się żaden aktor (a przecież od aktorów wielkiej miary, porywających, wstrząsających roi się średniowiecze — Cyd, Grzegorz VII i Henryk IV. Ryszard Lwie Serce i Jan Bez ziemi, Barbarosa, Innocenty III. Fryderyk II, — a w późnym średniowieczu, którego ducha i tła odtwarzają właśnie „Żywe kamienie“: Ludwik XI i Karol burgundzki, bohaterowie wojen dwu Róż, hiszpańscy Piotrowie Okrutni), nie rozegra się żaden dramat, a ileż ich się rozegrało w średniowieczu!

Brak „Żywym kamieniom“ tempa beletrystycznego dynamiki narracyjnej, brak ludzi, — nie typów, nie symbolów, ale ludzi z krwi i kości. Że Berent jednak potrafi stworzyć i takich ludzi, i udynamizować akcję, a tylko świadomie tego nie chce, — dowodem opowieść żonglera, jedyna w całej książce prawdziwa, żywa opowieść o żywych ludziach.

Znakomita autorka „Złotej wolności“ — Zofia Kossak-Szczucka w „Legnickim Polu“ odtworzyła dzieje pierwszego najazdu tatarskiego z bitwą pod Lignicą, jako finałowym, załobno - chwalebnym (Gloria victis!), pełnym wysokiej miary patosu akordem. W powieści tej mamy bardzo szerokie, wielopłaszczyznowe tło, rozciągające się poprzez Polskę od stóp Kasakorum i Himalajów, do włoskich „pań mórz“: Genui i Wenecji.

„Legnickie Pole“ w porównaniu ze „Złotą wolnością“ to wielki krok naprzód w zakresie umiejętności komponowania powieści historycznej, która, będąc rodzajem literackim najdoskonalej epickim, naprawdę nie jest do pomysłenia — jako pewien wartościowy twór sztuki — bez elementu fabularnego, wymagającego wielkich zdolności i kursztu kompozycyjnego. Kunsztu tego (w którym mistrzem po dziś dzień nieprzeciętnym jest Sienkiewicz) brakowało „Złotej wolności“ — dostrzegamy go już w „Legnickim Polu“.

Pozatem powieść ta pogłębia zalety i wady poprzedniej: szczególnie wybujała staje się w „Legnickim Polu“ typizacja, daleka od wszelkiego różnicowania psychologicznego (Wenecjanin musi nienawidzieć Genuńczyka i odwrotnie, Chińczyk musi być chytry i tajemniczy, templariusz-zniewieściał i rozpustny), i uproszczone portretowanie postaci historycznych... portretowanie nieraz ze wzorów, czerpanych ze szkolnego podręcznika historii, (Henryk Bródawy ukazuje się, szarpiąc długą białą brodę!) O nowej powieści Kossak-Szczuckiej „Krzyżowcy“, drukującej się obecnie na łamach „Tygodnika Ilustrowanego“ przedwcześnie byłoby wydawać sąd, nie poznawszy się z całością.

Ostatnie tygodnie przyniosły dwie nowe pozycje w dziedzinie zainteresowań powieściopisarstwa polskiego średniowieczem. Jedną to „Czerwone Tarcze“, powieść z XII wieku Jarosława Iwaszkiewicza, jednego z czołowych współczesnych poetów i autora szeregu utworów powieściowych i nowelistycznych „Zmowa mężczyzny“, „Panny z wilka“.

Debiut dojrzałego już oddawna i głośnego liryka w dziedzinie powieści historycznej wypadł zasadniczo bardzo pomyślnie: uderza gruntowna znajomość epoki i jej ludzi, na szczególną uwagę zasługuje tło topograficzne. Iwaszkiewicz nie archaizuje, — i on sam, i jego bohaterowie mówią językiem zupełnie nowoczesnym, przez co stają się bliżsi i zrozumialszy dla człowieka dzisiejszego, ale też tkwi w tem unowocześnianiu niebezpieczeństwo anachronizmów językowych, psychologicznych, obyczajowo - historycznych, których nie uniknął Iwaszkiewicz całkowicie.

W przeciwstawieństwie do „Żywych kamieni“ roi się tu od aktorów: zmarłych wstają przed nami i żyją własnym, ludzkim życiem postacie, znane z podręczników historii, — przede wszystkim liczni Piastowie, książątka dzielnicowe, którzy w świadomości większości czytelników żyli dotąd napewno jedynie, jako pewne punkty z tablic genealogicznych.

Materiał historyczny duży, ale nie zawsze autor wie, co z nim robić: tak np. na początku powieści w rozmowach pomiędzy jej bohaterami przetacza się

przed nami cała historia Krzywoustego i jego synów, w danej chwili zupełnie nie potrzebna dla celów kompozycyjnych. Ma się wrażenie, że albo autor przypuszcza, że czytelnik zupełnie nie zna historii Polski średniowiecznej i robi wykład popularny, albo też sam chce zademonstrować cały zapas posiadanych wiadomości.

Zupełnie odmienny charakter ma „O wojewodzie Gwilemie Krzywonosie, opowieść rycerska“ lwowskiej autorki Anny Ludwiku Czerny. Rozpatrywać ją należy z dwu punktów widzenia: filologicznego i beletrystycznego. Fachowiec - romansista przede wszystkim powinien i może ocenić cały ogrom i wartość pracy, polegającej na przyswojeniu językowi polskiemu francuskiej epiki średniowiecznej (romanse trubadurów) i to nie w formie nudnych szkolnych czy seminaryjnych wypisów, ale w ramach doskonałej kompozycji powieściowej. Wartość filologiczna tej książki tkwi ponadto w tem, że zapomocą języka odpowiednio archaizowanego i polszczenia imion otrzymujemy przetransponowaną z francuskiej tradycji literackiej piękną próbkę tego, jakby wyglądał polski epos średniowieczny, gdyby istniał w rzeczywistości.

Jeżeli jednak będziemy rozpatrywali „Opowieść o Gwilemie Krzywonosie“, jako sui generis powieść historyczną (pozwała na to kompozycja, będąca dziełem A. L. Czernowej: z dwudziestu kilku dosyć chaotycznie ułożonych rapsodów średniowiecznych stworzyła osiem, w doskonałej konstrukcji artystycznej zawierającą odpowiednio uporządkowane i umotywowane logicznie, psychologicznie i chronologicznie dzieje życia i śmierci Gwilema), — to musimy stwierdzić, że oddala ona raczej od nas odtwarzaną epokę i duszę jej ludzi, a nie zbliża: dla człowieka dzisiejszego Gwilem i jego epoka, jej kultura, obyczaje, pojęcia i duch — oddalone od nas o jakieś 700—800 lat, wydają się nieskończenie dalsze i bardziej obce.

Rzym pogański i jego ludzie z przed lat 2.000 prawie, odtworzeni przez Sienkiewicza w „Quo vadis“, — lub nawet jeszcze dalsze, bo bardziej obce i mniej zrozumiałe, niż Egipt i Egipcjanie Ebersa czy Prusa sprzed trzech tysiącleci!

—X—

Szekspir i Moljer w Indjach

P redstawienia teatralne cieszyły się w Indjach od bardzo dawna ogromną popularnością. Utwór dramatyczny uchodzi u Hindusów za szczyt twórczości poetyckiej — jako ta jej forma, która łączy w sobie obydwie inne, epikę i lirykę, i daje ludzko podobny do oryginału obraz rzeczywistości. Charakterystyczną cechą literatury dramatycznej jest też to, że można jej utwory nie tylko czytać lub słuchać ich recytacji lecz także oglądać je na scenie, co znacznie podnosi bezpośredniość wrażenia.

Te to nadzwyczajne właściwości sztuki scenicznej sprawiły bez wątpienia, że tradycja indyjska uważa je za twór

pochodzenia boskiego: sam najwyższy bóg Brahman miał ją stworzyć z pomocą innych wielkich bogów jako „piątą Wedę“ — obok Rygwedy („Wiedza hymnów“), Atharwawedy („Wiedza czarów“), Jadzurwedy („Wiedza formuł ofiarnych“) i Samawedy („Wiedza śpiewów“). Nic dziwnego też, że teoretycy indyjscy zajmowali się szczegółowo istotą dramatu i jego estetyką, dając szereg głębokich i ciekawych, choć niezawsze łatwych do zrozumienia studiów.

Zachowana literatura dramatyczna indyjska jest bardzo bogata. Od w. II po Chr., z którego to czasu pochodzą dramaty wielkiego poety buddyjskiego Aś-

waghoszy¹⁾, aż po dzień dzisiejszy twórczość na tem polu rozwijała się wcale żywo. Tworzono przede wszystkim w klasycznym języku literackim, tzw. sanskrycie, używanym jeszcze dzia-

¹⁾ Z Aśwaghoszą i jego utworami może się czytelnik polski zapoznać dzięki przekładowi zmarłego przed kilku laty (r. 1927) z niepowetowaną szkodą dla nauki polskiej prof. A. Gawrońskiego („Wybrane pieśni epiczne Aśwaghoszy“, Lwów, Ossolineum, „Biblioteka wschodnia“). O tym przekładzie krótką notatkę zamieścił prof. Tarnawski w dodatku niedzielnym do „Kurjera Lwowskiego“, obszerniejszą (pt. „Omar Chajjam i Andrzej Gawroński“) w „Kurjerze Warszawskim“.

stał niejednokrotnie, szczególnie do celów naukowych.

Od w. XIII niewiele jednak zaczęto się posługiwać w literaturze także językami nowszymi, powstałymi na podłożu dialektów staroindyjskich, im później, tem częściej — tak, że obok napisanej np. jeszcze w sanskrycie sztuki, mającej za temat zdarzenie stosunkowo niedawne, koronację Jerzego V na cesarza Indji w Delhi, istnieje sporo utworów dramatycznych już w językach nowoindyjskich.

Autorowie nowożytni tematy swe czerpią naturalnie przeważnie ze skarbnicy tradycji narodowych. Jednakże bliższe zapoznanie się z Anglikami i ich cywilizacją, a potem wyjazdy młodych wykształconych Hindusów dla studiowania kultury i cywilizacji europejskiej u źródeł, w pierwszym rzędzie w Anglii (później przyszła kolej na Francję i Niemcy) doprowadziły wkońcu do pewnych zmian i w dziedzinie twórczości teatralnej. „Nowinki” nie ominęły i tej gałęzi życia indyjskiego. Na pierwszy ogień poszedł — rzecz zrozumiała — Szekspir.

O jakimś wpływie literackim Szekspira na rozwój literatury dramatycznej nowoindyjskiej naturalnie mówić nie można. Wypada jednak zanotować, że znajomość dzieł wielkiego dramaturga angielskiego należy już w Indjach do wykształcenia ogólnego i że utwory jego są a raczej były do niedawna, w Bombaju bez porównania popularniejsze, niż utwory Tagorego w Kalkucie. Sztuki Szekspira grano w językach ludowych — marathi, guźarathi, hindi, urdu. Anglicy, a przynajmniej znawcy i entuzjaści „słodkiego łabędzia Avońskiego” (Sweet Swan of Avon) na takie sztuki nie powinni byli chodzić, o ile nie chcieli, by im włosy deba nie stawały na widok aktorów w turbanach i wspaniałych strojach wschodnich oraz publiczności, znającej co najwyżej nazwisko poety lub uważającej go za autora współczesnego.

Kto obeznany jest z literaturą dramatyczną indyjską, nie zdziwi się, że wszyscy mężczyźni w dramacie mają żony, a przynajmniej kochanki, — wbrew nawet wyraźnej woli Szekspira — ani, że wszystkie utwory wykazują „happy end”. Poza tem większe lub mniejsze oddalenie się od oryginału zależy od indywidualnych upodobań i poczucia samodzielności przerabiającego.

Naogół przekłady i przeróbki w języku marathi trzymały się pierwotnego ściślej niż przeróbki w językach guźarathi, hindi i urdu. Szczególną popularnością cieszyły się: „Bankiet śmierci” (t.j. „Romeo i Julia”), „Otello” i „Kupiec wenecki”; grali je chętnie także amatorzy po szkołach, lecz w języku angielskim (na zaszczytną wzmiankę zasługuje przede wszystkim New High School w Bombaju).

Jak niektórzy Hindusi sami przyznają, istnieje ciekawe podobieństwo między dzisiejszym teatrem indyjskim i dzisiejszą publicznością tamtejszą, a teatrem i publicznością w Anglii Tudorów.

Od r. 1912 niewiele jednak entuzjazm dla Szekspira znacznie ochłodził i sceny ludowe w Bombaju chętniej wystawiają sztuki, których temat zaczerpnięto z Mahabharaty lub innych źródeł narodowych. Jest to objaw świadomej reakcji przeciw cywilizacji europejskiej, przede wszystkim angielskiej, i stoi w związku z przebudzeniem się narodem indyjskim.

Popularność, którą utracił Szekspir, stara się zyskać — Molier (dr sublime au ridicule il n'y a qu'un pas), do niedawna prawie całkiem nieznany, lecz ta

przeróbka nie oddawała nawet samej intrygi. W r. 1925 jeden z hinduskich entuzjastów literatury francuskiej, Sarup, gorący wielbiciel Moljera, dał staranny przekład tej komedji, przystosowując ją rozsądnie do tła indyjskiego: tak n. p. tytuł przekładu brzmi dosłownie: „Kupiec przybrał maniery nababa” (co przywołuje krajowcom na pamięć pewne przysłowie nowoindyjskie), wzmiankę zaś o Juwenalu (w tekście) zastąpiło powołanie się na klasycznego poetę indyjskiego, Kalidasa (w. V). Tego rodzaju

zmiany tylko ułatwiają należyte zrozumienie dzieła.

Pozatem tłumacz stara się oddać nawet odcienie językowe oryginału, chcąc — jak sam mówi — „zrobić to, co by zrobił Molier, gdyby był pisał w języku hindi”.

Sarupowi idzie nie tylko o zapoznanie Indji z autorem, godnym tego naprawde. Pragnie on także przyjąć z pomocą odrodzeniu literatury indyjskiej, które nie objęło teatru, przez wprowadzenie do Indji komedji charakterów. Wybrał

na początek nieźle „Mieszczanina szcicem”: wesołość, ożywienie, przepych niektórych scen wywrą wrażenie na widzu indyjskim, a sens moralny komedji tem łatwiej pojmie on i zapamięta.

Tylko tu jeszcze pozwolił sobie Sarup na pewne odchylenie: ostrze ironji zwraca nie przeciw naśladowaniu wyższych sfer, lecz przeciw bezmyślnemu małpowaniu obyczajów europejskich.

Pozostaje życzyć Moljerowi powodzenia w tej pośmiertnej podróży po Indjach.

Eugeniusz Słuszkiewicz.

„Najsmutniejszy kościół” krakowski

Kraków, ten „polski Rzym”, wzbogacony tylu kościołami pamiątkowymi, ma wśród nich jeden którego dzieje są naprawdę bardzo smutne. Jest nim tragiczny kościół Św. Agnieszki.

Jak opowiadają stare kroniki klasztoru P. P. Bernardynek, na tem miejscu, na którym stoi dziś kościół Św. Agnieszki, była w czasach zamierchliwych pogańska gontyna, drewniana, tuż nad dawnym brzegiem Wisły. Gontyna ta miała być następnie — za czasów Mieczysława I. przemieniona na świątynię chrześcijańską.

Historyczne zapiski, pozwalają nam w następnych wiekach ustalić pierwszą ścisłą datę dopiero w połowie XV w.

Oto w roku 1459 Hincza z Rogowa, kasztelan sandomierski i administrator żup solnych w Wieliczce, buduje drewniany klasztor i kościół pod wezwaniem Św. Agnieszki i oddaje go zakonnikom reguły Św. Franciszka z Assyżu, sprowadzonym z Włoch przez Św. Jana Kapistrana, które przyjęły nazwę P. P. Bernardynek.

W kolei czasów uzyskał klasztor poważne uposażenie. Szczególniejszym dobrodziejem P. P. Bernardynek był król Zygmunt August, który im nadał obszerne grunta, sięgające aż pod Zamek królewski, prawo rybołówstwa na długości jednej mili poniżej i powyżej Krakowa i czynsz roczny 17 i pół grzywien z dochodów żup solnych w Bochni i Wieliczce.

Gdy wskutek trzykrotnych pożarów kościół i klasztor Św. Agnieszki uległy zniszczeniu, ks. Jan Korzbach (inni piszą go Korzbok), kanonik kapituły katedralnej krakowskiej własnym sumptem wybudował w roku 1558 nowy kościół i klasztor z cegły i kamienia w stylu dotąd zachowanym a grunta okalające otoczył wysokim murem.

W klasztorze Św. Agnieszki kwitło życie zakonne w całej pełni. Córki pierwszych rodów wstępowały w mury P. P. Bernardynek, by tu, w ciszy i odosobnieniu, służyć wyłącznie P. Bogu. Ciske tych świętych murów zakłócił w roku 1612 Aleksander Koniecpolski porywając gwałtem z klasztoru siostry: Dorotę i Zofję Dembińskie — przy pomocy zbirów. Biskup Tylicki ukarał awanturnika kłatwą za znieważenie klauzury, nadto wyrokie sądowym został Koniecpolski skazany na infamję.

W roku 1644 ufundowały P. P. Bernardynki nowy klasztor w Krakowie, pod wezwaniem Św. Józefa, przy dzisiejszej ulicy Poselskiej, do którego przeniosła się część sióstr z klasztoru Św. Agnieszki.

Podczas najazdu Szwedów na Kraków w roku 1655 klasztor i kościół Św. Agnieszki bardzo ucierpiały z powodu pożaru. Dopiero w trzy lata później, w roku 1658, szlachta województwa krakowskiego, zebrana 30 czerwca na sejmik proszowski, poleciła swym posłom wybranym na sejm warszawski aby zażądali funduszu na odnowienie zniszczonych w czasie napadu kościołów, a między niemi: kościoła Św. Agnieszki.

Po odnowieniu istniał ten klasztor równo 130 lat. W roku 1788 uległ on supresji na podstawie decyzji ówczesnego Prymasa, Księcia Michała Poniatowskiego, który był zarazem admini-

stratorem diecezji krakowskiej. Poleconie wykonał sufragan krakowski, ks. Biskup Józef Olechowski. 11 sierpnia 1788 roku, po wysłuchaniu ostatniej Mszy św. w kościele Św. Agnieszki zakonnice zostały — wśród łkań i szlochów — przewiezione w karecie biskupiej do klasztoru Św. Józefa, wyżej wspomnianego.

Ostatni raz rozległy się głosy dzwonów z dawnej wieży kościoła Św. Agnieszki 9 sierpnia 1788 roku przy sprowadzeniu zwłok biskupa krakowskiego, Kajetana Sołtyka, zmarłego w Kielcach 30 lipca tegoż roku.

Najsmutniejszy okres nastał dla kościoła Św. Agnieszki od czasu upadku Polski.

Gdy w roku 1795 Kraków przeszedł w ręce zaborców austriackich kościół Św. Agnieszki został przeznaczony na magazyny wojskowe. A w roku 1801 sprzedał rząd austriacki kościół i klasztor — wraz z ogrodami — osobom prywatnym. Nabywcy przeznaczili kościół na skład starego żelaza, a klasztor na dom mieszkalny. Ogrody pokryły zabudowania, tworzące obecnie blok domów objęty ulicami: Dietłowska, Św. Agnieszki i Kołetek.

W roku 1874 wybuchł pożar, który zniszczył dach i niektóre ozdoby wewnętrzne. Mury oparły się straszemu żywiołowi i zachowały w głównych zarysach harmonijne piękno struktury.

W roku 1901 przeszły mury kościelne i budynki poklasztorne — drogą licytacji — na własność Jakóba Lednitzer, a ten sprzedał je w roku 1919 Izakowi Horowitzowi.

Akcję za wykupem budynków i kościoła z rąk innowierców rozpoczął śp. Ks. Opat Stanisław Stotwiński, prepozyt Kanonji Laterańskiej przy kościele Bożego Ciała, a śp. Ks. Biskup Bandurski, naówczas kanonik kapituły wawelskiej, rzucił myśl zbierania składek na ten cel i rozsprzedaży wydanictw.

Jednak akcja ta nie znalazła należytego zrozumienia w społeczeństwie, a władze zaborcze — oczywiście — nie kwapiły się z pomocą. Dopiero po odzyskaniu niepodległości została ona wznowiona przez ówczesnego przeora na Skalce, O. Piusa Przeździeckiego, obecnego generała OO Paulinów. Z inicjatywy jego następcy na Skalce, O. Paszkiewicz, i przy pomocy obecnego opata przy kościele Bożego Ciała, Ks. Górnego, zawiązał się 1 lipca 1923 roku, komitet ogólnoobywatelski wykupna Św. Agnieszki — pod protektorem J.E. Ks. Metropolity A. S. Księcia Sapiehy. Duszą tego komitetu był niezmordowany jego sekretarz śp. J. Sarna.

Dnia 16 czerwca 1926 roku, wykupiono nareszcie cały obiekt za poważną kwotę 70.000 zł; tymczasowy remont, inwentarz itp. pochłonęły nadto 40.000 zł.

Aktem darowizny z dnia 31 stycznia 1929 roku, przekazał wspomniany komitet obywatelski kościół i budynki poklasztorne Skarbowi Państwa Polskiego na cele parafjalne duszpasterstwa wojkowego miejscowej załogi.

Gdy szefem duszpasterstwa Korpusu krakowskiego został zamianowany Ks. Dziekan Dr. Antoni Zapata, dla zainicjowanego kościoła nastąpiła nowa era. Za olbrzymim odstępem 24.000 zł usunięto rodziny żydowskie mieszkają-

ce przy kościele, zawiązano wojskowy komitet parafjalny i obywatelskie „Koło Przyjaciół kościoła Św. Agnieszki”, wreszcie przystąpiono do restauracji kościoła.

Uroczyste rozpoczęcie odbudowy rozpoczęło się 19 czerwca 1932 roku. Tłumy wiernych zaległy opuszczone i poszarpane mury — już jednak spięte rusztowaniami. Jawili się reprezentanci władz z p. Wojewodą, Drem Kwaśniewskim na czele. Mszę św. celebrował J.E. Ks. Biskup Dr. Godlewski, kazanie poświęcone dziejom „najsmutniejszego kościoła” krakowskiego i znaczeniu jego odbudowy wygłosił podpisany. Po nabożeństwie J.E. Najdosłowniej Księżę Arcybiskup A. S. Sapieha dokonał poświęcenia kamienia, w którym zamurowano historyczny dokument, uwieczniający rozpoczęcie restauracji kościoła, który był przez długie lata płamą na honorze polskim.

Od tej też chwili prace nad odnowieniem kościoła Św. Agnieszki postępowały szybko. Pan Bóg pobłogosławił dobrą inicjatywę i błogosławi prace, aż dotąd. W przeciągu sześciu miesięcy 1932 roku wykonano następujące prace: położono nowy dach, założono instalacje elektryczne, odnowiono całe wnętrza, wykonano cały szereg wewnętrznych dekoracji ścian według śladów pozostałych z dawnych czasów, wybudowano nowy chór, położono posadzkę, odnowiono stary obraz Św. Agnieszki i umieszczono go na ścianie w prezbiterjum i wybudowano jedyny wielki ołtarz z ciemnego i białego alabastru w wykonaniu fabryki w Żórawnie.

W następnym roku zakupiono do kościoła krzesła, chodniki, sporządzono stalle, modrzewiowe i tron dla biskupa i asysty.

W ostatnim zaś roku, tzn. 1934-tym odnowiono dwie zewnętrzne ściany kościoła i zbudowano z ciosów piękny portal.

Ponadto odnowiono wewnątrz przykościelny budynek i umieszczono w nim kancelarię proboszcza, dziekana i służbę kościelną.

Pozostały jeszcze do odnowienia dwie zewnętrzne ściany kościoła, a nadto jest w planie przerobienie całego szeregu pokoi, przylepionych do jednej ściany kościoła na kaplicę Św. Antoniego, by w ten sposób rozszerzyć o jedną nawę kościół i zmienić dawne mieszkania żydowskie na miejsce Chwały Bożej i miejsce łask Bożych dla ludzi i ofiarodawców za przyczyną i wstawiennictwem Św. Antoniego.

Łaskawe ofiary na ten cel uprasza się posyłać na niżej podane konto czekowe z wyraźnym zaznaczeniem: na budowę kaplicy Św. Antoniego przy kościele Św. Agnieszki w Krakowie.¹⁾

Niechaj nie braknie chętnych ofiarodawców!

By rehabilitacja była godna imienia polskiego, potrzeba jeszcze dużych ofiar ze strony społeczeństwa. Liczymy na to, że zasięg ofiarodawców ogarnie — mimo obecnych ciężkich warunków — cała Rzeczpospolita. Chodzi o nasz honor narodowy.

Ks. HENRYK WERYŃSKI

Wiceprezes „Koła Przyjaciół kościoła Św. Agnieszki”.

¹⁾ a) Konto P. K. O. 405.054. b) Adres X. Dziekan Wojskowy, Kraków, D.O.K. V., ul. Dietłowska.

Odkrycie Australji

CZY TYLKO W CELACH ASTRONOMICZNYCH?

Stan Wiktorja, stanowiący część zjednoczonego obecnie dominium Australji, przygotowuje obchód swego, stoletniego istnienia. — Warto jednak cofnąć się w przeszłość poza r. 1834 i przypomnieć odkrycie Wiktorji, a temsamem i Australji.

Podobno, żeglarze francuscy zawadzili o jej brzegi już w XVI w., ale relacje ich są niedokładne, a w każdym razie rzecz pozostała bez żadnych następstw. W r. 1642 odkrył Holender Tasman Nową Zelandję i umieścił ją na swej mapie. Ale niewątpliwym odkrywcą Australji był sławny kapitan Cook w czasie pierwszej ze swych trzech śmiałych podróży.

W r. 1767 zwróciła się Królewska Akademia Umiejętności do Jerzego III. z memorjałem, w którym w imię rozwoju nauk astronomicznych w Anglii wzywała do wysłania ekspedycji „do jakiejś miejscowości poniżej 30 stopni szerokości południowej, a między 140 a 180 stopniem długości geograficznej na zachód od Królewskiego Obserwatorium Najjaśniejszego Pana w parku w Greenwich”. celem obserwowania przejścia Wenus przez tarczę słoneczną. Fenomen ten miał zająć 3 czerwca 1769 i powtórzyć się dopiero po zgórą stu lat. Rząd doradził królowi pokryć całe koszty podróży, ale że miał przytem i inne cele prócz naukowych, dowodził instrukcją, jaką dostał kapitan Cook, nieznaną do r. 1923. Obecnie wiemy dokładnie, jakie wielki żeglarz dostał polecenia. Niektóre były jawne, inne poufne.

Jawne, odnoszące się do pierwszej podróży, dotyczą jedynie sposobu dotarcia do Taluji. Prawdziwie interesujące są jedynie tajne.

IMPERJALISTYCZNE INSTRUKCJE

Do połowy XVIII w. W. Brytania nie myślała o budowaniu imperjum światowego, jedynie o handlowem opanowaniu oceanów. W tym celu opanowywała w różnych ich punktach miejscowości, nadające się na stacje dla floty. W Indiach pozostawiała wolną rękę spółce kupieckiej.

Rzecz zmieniła się w ciągu wojny siedmioletniej. Gdy sprzymierzeniec W. Brytanji Fryderyk VI skutecznie walczył o utrzymanie swego stanu posiadania, ona wojowała także poza Europą i walki te, raczej dzięki energii i inicjatywie jednostek, niż dzięki jakiemś planowi, przyniosły jej olbrzymie zdobycze — Kanadę i Indie. I teraz jeszcze niektórzy jej politycy wyznawali zasadę handlową, ale istniała już myśl imperjalistyczna i jej wyrazem były tajne instrukcje dla Cooka.

Po dokonaniu swych obserwacji astronomicznych kapitan miał natychmiast udać się na południe. Podróżę kilku żeglarzy brytyjskich, a w szczególności kapitana Wallisa na okręcie Delfin, wytworzyły wiarę, że w tych stronach istnieje wielki nieznany kontynent.

Miał tedy Cook dotrzeć do 40 stopnia szerokości, a o ileby tam nie natknął się na ów ląd oczekiwany, płynąć dalej do 35 stopnia, zachowując kierunek zachodni, i osiągnąć „wschodnią stronę kraju odkrytego przez Tasmana, a dziś zwanego Nową Zelandją”. Miał badać to, co odkryje, rysować mapy, obserwować faunę i florę. Zwrócono mu także uwagę, że musi traktować krajowców jak najżyczliwiej.

„Ma pan także” — czytamy dalej — „za zgodą krajowców wziąć w posiadanie dogodnie i akty kraju w imieniu kró-

la W. Brytanji, albo gdyby pan zastał kraj niezamieszkałym, wziąć go w posiadanie dla Najjaśniejszego Pana przez pozostawienie odpowiednich znaków i napisów, stwierdzających, żeśmy pierwszy odkryli i objęli”.

Gdyby Cook nie natrafił na ów południowy kontynent, poleceno mu badanie Nowej Zelandji, ale tylko w takim zakresie, na jaki pozwolą zapasy. Wracać miał koło Przylądka Dobrej Nadziei lub Przylądka Horn.

COOK POSŁUSZNY

Ukończywszy swe obserwacje w Tahiti, Cook zgodnie z planem admiralicji dotarł do szerokości południowej 40 st. 22'. Gdyby teorie co do owego lądu były prawdziwe, znajdowałby się teraz w jego głębi. Tymczasem był na pełnym morzu i nigdzie nie dostrzegano ziemi.

Zresztą w istnienie takiego kontynentu Cook nigdy nie wierzył — przypuszczając raczej, że mógłby on być na granicy pasa antarktycznego lub koło Wysp Towarzystwa. Rzeczywiście miał podczas swej drugiej podróży (1772—75) stwierdzić, że takiego lądu, o jakim myślano, niema.

Zgodnie z instrukcją popłynął teraz do Nowej Zelandji. Znano dotychczas tylko część wybrzeża. Cook zasiał kilka rodzajów roślin i wypuścił na brzeg pewną ilość świń, poczem opłynął dookoła obie wyspy, z których składa się kraj i tym sposobem stwierdził ich rozmiary, znowu obracając wniwecz przypuszczenia, że w tem miejscu jest duży kontynent.

Trzeba było wracać. Były do wyboru dwie drogi. Lecz Przylądek Dobrej

Nadziei nie nęcił śmiałego żeglarza. — W tych stronach nie mógł on oczekiwać żadnych odkryć. Podróż koło Przylądka Horn dawała możliwość stwierdzenia, co jest z owym południowym kontynentem. Stan okrętu jednak nie pozwalał na podróż taką podczas najcięższej zimy. Cook postanowił tedy wybrać trzecią rutę.

FURTKA

Umożliwiła mu to poniekąd klauzula, dodana przez admiralicję. W razie nadzwyczajnych wypadków wolno mu było po naradzie z oficerami odstąpić od obu wskazanych rut i samemu oznaczyć inną.

Żaden niezwykle wypadek nie zaszedł i kapitan byłby za powrotem musiał się usprawiedliwiać ze swej samowoli, gdyby zawiodło go oczekiwanie odkryć. Liczył jednak, że napewno natrafi na jakiś kraj nieznany, a zasługa pokryje jego nieposłuszeństwo. Dla formalności odbył poleconą naradę i postanowił

„wrócić przez Indie wsch., trzymając się następującego kursu: opuściwszy to wybrzeże, sterować na zachód, aż dostrzemy do wschodniego wybrzeża Nowej Holandji, a potem wzdłuż tego wybrzeża ku północy, względnie w innym kierunku, w jakim ono nas poprowadzi, póki nie osiągniemy najdalej północnej kończyny; jeżeliby to się okazało niewykonalnem, starać się dotrzeć do grupy wysp, odkrytej przez Quirosa” (tj. do Nowych Hebryd).

ODKRYCIE AUSTRALJI

Rozwinięto żagle 1 kwietnia 1770 r.

Jak łowi się ryby dla akwarjum

Z artykułu, jaki niedawno ogłosił kierownik londyńskiego Ogrodu Zoologicznego, dowiadujemy się, że chwytanie okazów dla akwarjum nie jest tak prostą rzeczą, jak rybołówstwo. Idzie przecież o to, aby ryby, czy jakieś wodne żyjątka pozbawić wolności przy pełnym poszanowaniu jej życia i zdrowia, później aby ją w takim stanie dowieść.

Swego czasu ogromną trudność sprawiało łapanie w Amazonce małych rybek, zwanych anielskimi. Trzeba było brodzić w wodzie, pełnej ogromnych węzów wodnych i węgorzy, których dotknięcie przenikało prądem elektrycznym, pośród rojów moskitów i innych równie nieznosnych owadów. Dziś nikt nie jest zmuszony do podejmowania tego trudu, gdyż rybki anielskie mnożą się doskonale w niewoli.

Przeważnie zastawia się na mieszkańców wód pułapki lub sieci. Homary łowi się do t. zw. garneków. Wyjątek stanowi płaski gatunek, żyjący koło Madery. Ten homar jest w akwarjum ociężały i nieruchliwy, w morzu pływa z nadzwyczajną szybkością — naturalnie wstecz, otwierając i zamykając płetwy ogona. Do garneków nie lubi wchodzić. Skalistość dna morskiego koło Madery i jej wybrzeży uniemożliwia użycie niewodu i trzeba za pomocą nurków, ale krajowcy są do tego przyzwyczajeni. Boulenger opowiada, że podczas jego ostatniej ekspedycji rybak, który skoczył z łodzi, wypłynął za chwilę z trzema okazami. W każdej ręce miał po jednym, trzeci w zębach.

I ładną rybkę koralową żyjącą w holenderskich Indjach Wschodnich (a zwaną po łacinie Amphiprion) łowi się przy pomocy nurkowania, ale ona sama bardzo ułatwia sprawę, gdyż w obliczu niebezpieczeństwa chroni się do wielkiej anemony morskiej o średnicy zgórą półmetrowej. Nurek ścina anemone, a po

wydstaniu się na powierzchnię wylewa jej zawartość do wiadra.

Z transportem okazów zachodzą znaczne trudności. Na parowcach umieszcza się osobne rezerwoary z wodą ustawicznie krążącą. Wodę tę sepią i oktopus zanieczyszczają do atramentu podobną cieczą, którą wypuszczają, przy czem niszczą zawarty w wodzie zasób tlenu, więc trzeba ją wciąż zmieniać dla ich utrzymania przy życiu. Zresztą z oktopusem są inne kłopoty. Niedawno przywieziono jednego, i to bardzo dużego, z Madery. Zaklinował się jednak pod rury, które ogrzewały rezerwoar, i tak przybył do portu. Wszelkie próby wydobywania były daremne i pozostawiono go tak, aby w nieskończoność odbywał podróż z Southampton do Madery i naodwrot.

Czasem stworzenia morskie nie znoszą dłuższej podróży. Wówczas używa się aeroplanów. Konie morskie, chwytane w Ariackon, odbywają podróż do Londynu powietrzem i później pociągiem.

Najłatwiej przewozić ryby, które obchodzą się przez jakiś czas bez wody. Duże szczupaki i karpie wytrzymują bez niej po cztery godziny, o ile zapakuje się je w mokre chwały (jak u nas raki w pokrzywę). W Afryce i w Ameryce Południowej żyje gatunek ryb, które w okresach posuchy łożą sobie w łóżysku rzeki komórki i gdy woda wyschnie, są zdolne długo wytrzymać jej brak, gdyż zaopatrzone są prócz skrzel w osobny narząd oddechowy. Podobno żyją w tych warunkach po pół roku. Z temi niema ceremonji. Przybywają do Zoologu w bryłach gliny, z których wydobywa się je przy pomocy dłota i młota.

I wyżywienie stworzeń wodnych w niewoli nie jest rzeczą prostą. Ulubionym pokarmem wielu z nich jest spokrewnione z konikiem polnym i szarańczę stworzonko, zwane Gammarus locusta, a żyjące w piasku nadmorskim.

Pierwszym etapem miał być Kraj Van Diemena. Gdyby tam dotarło, Cook byłby odkrył cieśninę, odkrytą później przez Bassa i nazwaną wedle niego. Lecz 13 i 19 marca zerwał się silny wiatr południowy. Zapędzony daleko na północ okręt zbliżył się do jakiegoś lądu, który o 6 rano 20-go dostrzegł pierwszy porucznik Hicks. Były to brzegi Wiktorji, a Cook nazwał przylądek Przylądkiem Hicksa.

Przed uradowaną załogą roztoczył się teraz widok łagodnie ku morzu opadających wzgórz, pokrytych lasem i zaroślami, ale przerywanych szerokimi obszarami piasku. Wylądowawszy, zbadał no południowo-wschodnią część Australji i zatknęto flagę brytyjską na ziemi nowo odkrytej części świata.

Hicks nigdy nie ujrzał już ojczyzny, gdyż umarł na suchoty pod koniec drogi powrotnej. Cook odbył jeszcze dwie podróże, podczas ostatniej zginął w r. 1779 z rąk ludożerców na jednej z Wysp Hawajskich. W r. 1787 postanowiono założyć w Australji kolonję karną i wysłano tam kapitana Philipa z 850 skazańcami pięci obojga. Dopiero w czwartym dziesiętku XIX w. kolonje karne przemieniły się w normalne społeczeństwo — i dlatego rozwój Australji rozpoczyna się od tej daty.

PROJEKT REWINDYKACJI

Z okazji jej jubileuszu zaproponował ktoś w liście do „Timesa”, ażeby uczcić pamięć porucznika Hicksa i przywrócić jego nazwisko przylądkowi, który w r. 1843 podróżnik Stohes ochrzcił Cape Everard. Byłby to także akt petyzmu wobec Cooka.

J. S.

Ludność angielska daje mu mniej pretenstionalną nazwę pchły nadbrzeżnej. Łapie się Gammarusa do worków napełnionych świeżemi porostami morskimi i zapuszczanych głęboko w piasek lub żwir. Po wydobyciu worka oczyszcza się schwytane żyjątka i wysyła do Londynu pociągami, bo jest to przysmak dla wielu ryb angielskich i tropikalnych, ale tylko w stanie świeżym.

A. E.

Nowa publikacja o obronie Lwowa

Towarzystwo Badań Historji Obrony Lwowa i Województw południowo-wschodnich przystąpiło obecnie do druku dwóch nowych publikacji naukowych.

Przeprowadzona przez Komisję Naukową T-wa akcja ankietowa indywidualne wysiłki członków Zarządu i Komisji Naukowej, a przede wszystkim poruszenie licznej rzeszy obrońców Lwowa ogłoszenie i tomu źródeł do dzieł wojny o Lwów i województwa południowo-wschodnich. 1918—1920. Obrona Lwowa 1—22 listopada 1918, relacje uczestników. — złożyły się na to, że w krótkim przeciągu czasu zebrano T-wo znaczny materiał relacyjny, z którego najważniejsze relacje odnoszące się do okresu listopadowego, oddało T-wo obecnie do druku w II t. źródeł do dzieł listopadowej obrony Lwowa w r. 1918.

Autorami kilkudziesięciu relacji, które odnoszą się do różnych spraw i wydarzeń i obejmują cały okres listopadowy naświetlając go z różnego stanowiska, są przeważnie dowódcy odcinków i uczestnicy listopadowej obrony Lwowa.

W II tomie będzie uwzględniona i polityczna strona Listopadowego Przełomu; pojawią się również barwne opisy, akcy o epizodycznym charakterze, w których dojdzie do głosu „szary żołnierz”. Całość, którą przygotował do druku sekretarz Komisji Naukowej T-wa dr. Eugeniusz Wawrzukiewicz, obejmie około 450 stron druku.

—X—

Z historii naszych osad nadmorskich

W całej Polsce rozbrzmiewa od kilku lat hasło — frontem do morza. Z hasła tego wyrosła Gdynia, wielkim wysiłkiem Narodu Polskiego zbudowana stała się ośrodkiem łączącym wszystkie serca. Przyjeżdż więc i zobacz — Gdynię port i miasto! Spójrz własnymi oczyma na Morze Polskie! Odwiedź Szwajcarię Kaszubską, ten skrawek ziemi polskiej, przesiąknięty krwią walecznych Synów naszej Ojczyzny w walkach z Krzyżakami. „Oto zew, który tysiące obywateli całej Rzeczypospolitej zachęcił ubiegłego lata, podobnie jak i poprzednich, do wędrówek nad skrawek naszego morza. I jechali całymi pociągami, młodzi i starzy. Jechał każdy kto mógł, by podziwiać nasze „okno na świat“, przyjrzeć się w amerykańskim tempie wzniesionemu portowi, związkowi floty handlowej i wojennej, malowniczym wioskom kaszubskim, ciekawemu pasmu piasku wiskajacemu się w morze, w postaci półwyspu helskiego i innym falam zimnego Bałtyku.

Rozmach i tempo w jakim spokojne, ciche i słabo zaludnione wybrzeże nasze uległo przeobrażeniu na gwarne, pełne ruchu i życia zbiorowisko ludzkie, wycisnęło na rozsianych po nim osadach piętno młodzieńczej świeżości. Przyjezdny, powierzchowny obserwator, odnosi mylnie wrażenie, że przed laty kilkunastu nie tu nie było, że wszystko co widzi powstało dzisiaj, niemal w jego oczach, na bezludnych do niedawna piaskach i wydymach nadmorskich. Nie dziwnego. Wszystko co ma związek z historią naszego wybrzeża kryje się dzisiaj wstydliwie w cieniu nowoczesności, która przysłań swym rozmachem drzemiące dzisiaj wśród połówkowych kartek starych pergaminów obrazy dawnej przeszłości. W źródłach historycznych i to bardzo starych znaleźć można ciekawe dane o wszystkich niemal znanych dzisiaj naszych nadmorskich osadach. Przyjrzyjmy się im kolejno:

Gdynia: W słownikach geograficznych z przed wieku można znaleźć starą nazwę Gdyni „Jedyna“. Pierwsze pewne wiadomości o tym potężnym dzisiaj porcie sięgają XIII wieku. W r. 1210 księżniczka pomorska Świnisława, żona Mestwina I, zapisała Gdynię Norbertankom z Żukowa, które ją też spokojnie przez niejaki czas posiadały; ale nie długo, bo już w r. 1224 Świętopełk II, sprzyjając Cystersom, przekazał tę wieś ich opactwu w Oliwie. Gdy nie długo potem niebezpiecznie zachorował cofnął za radą gdańskich Dominikanów zapis i wrócił Gdynię prawom właścicieli, Norbertankom. Cystersi jednak nie chcieli ustąpić. Rozpoczął się spór, który ciągnął się przez lat blisko sto. Do ugody doszło dopiero w r. 1316, na mocy której Norbertanki zrzekły się Gdyni na korzyść Cystersów. Później znowu, niewiadomo kiedy i jak Gdynia przeszła w ręce prywatne. Właścicielami jej byli do roku 1382 „szlachetni panowie na Rusocinie“, fundatorowie klasztoru w Kartuzach. W tym samym roku ofiarowali oni Gdynię nowozałożonemu klasztorowi.

Już wówczas, to znaczy w wieku XIV, statki z Gdańska przyływały do Gdyni, wyładowywały towary, które następnie karawany kupców wiozły w głąb kraju. Podobną wędrówkę odbywały łowione przez rybaków gdyńskich ryby.

Po sekularyzacji dóbr klasztornych rząd pruski wydał około r. 1820 grunta w Gdyni miejscowym osadnikom na własność. Jeszcze w r. 1913 Gdynia liczyła zaledwie 301 mieszkańców, a dzisiaj liczy 35.000.

Oksywie: Wieś rybacka dziś włączona do Gdyni była niegdyś osadą znacznie większą od Gdyni. Podczas

gdy Gdynia przed laty liczyła niespełna 300 mieszkańców, w Oksywiu mieszkało blisko 800 osób. Oksywie wymienione jest po raz pierwszy w aktach historycznych w r. 1209, kiedy to Świnisława, wspomniana już poprzednio, żona Mestwina I nadała tę wieś Norbertankom z Żukowa. Świnisława zapisała im równocześnie całą Kępę Oksywską, na której leżała wówczas 15 wiosek. O te posiadłości ubiegali się również Cystersi z Oliwy; skutkiem czego wynikały spory, kończone kilkakrotnymi ugodami. Na mocy jednej z nich klasztor w Oliwie miał płacić Norbertankom z Żukowa za północną część Kepy Oksywskiej rocznie dwie grzywny czynszu, a nadto „przystawić klasztorowi żukowskiemu 15 koni roboczych i 25 żrebiat“.

Ostatecznie pogodzone się w r. 1316. I wówczas wioska Oksywie pozostała ostatecznie przy Cystersach. Już w 1224 roku istniał tu kościół ufundowany przez Świętopełka. W czasie wojen polsko-szwedzkich został on spalony. Odbudowano go na starych fundamentach.

Oksywska Kępa, na której brzegu wznosi się Oksywie, stanowiła niegdyś wyspę. Niektórzy przypuszczają, że była to jedna z pośród wspomnianych przez Herodota wysepek, ku którym zapędzali się Fenicjanie po bursztyn. Że Kępa Oksywska była niegdyś otoczona wodą przemawia za tem znalezienie w r. 1834 daleko w głębi ładu belek pochodzących z dużego statku.

Kępa Oksywska zamieszkała była już w czasach przedhistorycznych, o czym świadczą wykopane urny i groby skrzynkowe, resztki naczyń oraz narzędzi.

Puck: Po kaszubsku Peck, różnie był w starych dokumentach nazywany. N.p. w dokumencie z r. 1277 „Pusecz“. Jedyną ozdobą i pomnikiem przeszłości jest piękna fara katolicka, z ciężką kwadratową wieżą, z wieku XIII (pierwsza wzmianka z r. 1283). Nosi ona wezwanie św. Piotra i Pawła. Puck jest starą osadą słowiańską, czego dowodzą wykopaliska. Znaleziono tu urny, klin brązowy i wiele innych. Puck w wieku XIII miał wielkie znaczenie. Przywilej Mestwina z r. 1289 mówi o przechodzącej tędy drodze królewskiej „de Gdancz in Pucz“.

Pierwotnie Puck był tylko wsią, którą Sambor I darował Cystersom w Oliwie. Później Puck zostaje kasztelanją, od r. 1277. Za Krzyżaków Puck należał do komtura gdańskiego. W r. 1457 zawitał do Pucka rzadki gość, król szwedzki Karol. Pozbawiony tronu, szukał pomocy u króla polskiego. Z Pucka udał się z orszakiem 200 rycerzy do Gdańska, który przyjął go gościnnie. Odwiedzając się Karol pożyczył miastu 15 tysięcy grzywien, a w zamian za to dostał w zastaw miasto Puck i okolice, gdzie rezydował. Po 13 latach nazli miasto zniemacka Krzyżacy, zdobyli je a załogę istniejącego wówczas zamku zmusili do poddania.

Drugim królewskim gościem, którego podejmował Puck, był Zygmunt III. Wyładował on w tym porcie w r. 1594, przybywszy ze Sztokholmu w towarzystwie 44 statków.

W r. 1632 uchwalił sejm elekcyjny udzielić w Pucku port dla floty wojennej. Dziełem tem pokierował Władysław IV. Dla obrony Pucka wystawił dwa forty nad zatoką Władysławów i Kazimierzów, z których do dziś dnia nie zostało niemal śladu. W porcie stało wówczas na kotwicy 12 mniejszych okrętów wojennych. Dzięki temu uzbrojeniu Puck okrył się sławą w drugiej wojnie szwedzkiej, opierając się potężnej flocie Karola Gustawa.

Od r. 1772 przeszedł Puck pod panowanie pruskie. Mieszkańcy miasta od dawien dawna zajmowali się ryboló-

stwem za co starostowie Puccy pobierali od nich pokaźne opłaty. N.p. od niewodu łososiego opłata wynosiła 16 florenów i dwa dobre łososie rocznie. Gdy rybak złowił jesiotra, zobowiązany był dostawić go do zamku, za co otrzymywał 3 grosze od stopy, nie licząc głowy i ogona. Kupcy handlujący rybami płacili rocznie 6 florenów podatku. Wyższe opłaty obowiązywały rybaków gdańskich, którzy od każdego niewodu płacili 4 floreny za tydzień.

Swarzewo: W r. 1340 nadała tę wioskę nadmorską komtur gdański Winrich von Knieprode niejakiemu Konradowi. Około r. 1400 wieś Swarzewo zobowiązana jest dostawiać swym panom trzech ludzi zbrojnych. Od wieku jest ona Kalwarią kaszubską. Zewsząd ciągną pielgrzymi do parafialnego kościoła w Swarzewie, w którego wielkim ołtarzu jaśnieje cudami słynąca figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Swarzewo jest dla Kaszuba tem czem Kalwaria dla małopolskiego chłopka. Wprawdzie cudowny wizerunek znaleziono w Swarzewie, ponieważ jednak wioska ta nie miała kościoła figurę umieszczono w kościele na Helu. Później jednak wystawili rybacy i żeglarze kościółek w Swarzewie. Figura powróciła więc do tej wioski. Największy odpust przypada na święto Narodzenia Matki Boskiej.

Jastarnia: powszechnie znana miejscowość na półwyspie helskim, położona nad zatoką i pełnem morzem. Dawniej istniały na półwyspie dwie miejscowości o tej samej nazwie, Jastarnia pucka i Jastarnia gdańska. Dzisiaj pierwsza nosi nadal nazwę Jastarni, drugą zaś przemianowano na Bór. Obie należą do osad starych, pamiętających wiek XIII. Obie były zamieszkiwane od dawna przez Kaszubów, katolików, którzy mieli tu mały kościółek drewniany, wystawiony około r. 1750 przez Urszulę z Potockich Przebendowską. W r. 1836 otrzymuje Jastarnia nowy kościół parafialny. W nocy Jastarnia od lat wielu daje znać o sobie migotliwym światłem 36-metrowej latarni morskiej.

Hel: Osada rybacka, na krańcu półwyspu tej samej nazwy, istnieje od niepamiętnych czasów. Osadę tę wynosi w r. 1378 Winrich von Knieprode, ówczesny mistrz krzyżacki, do godności miasta. Na czele Helu stał wówczas wójt który miał dozór nad wybrzeżem i burmistrz, zarządzający miastem. Około połowy XV wieku zaczęto zakładać obok starego Helu nowe miasto zwane Nowym Helem. Zdaje się, że przesiedlenie to spowodował niespodziewany wylew morza, który zalał Hel stary.

Do tego wydarzenia przywiązana jest ciekawa legenda. Mówi ona, że stary Hel był miastem bardzo bogatym. Prowadził handel z najodleglejszymi krajami, Indjami, Arabią, Afryką. Złota pereł i różnych kosztowności było tu pod dostatkiem, a srebro mieszkańcy Helu „za nic sobie mieli“. Ale później pod wpływem tych bogactw popadli w miękkość i zepsucie, za co ich Pan Bóg wielkim wylewem morza skarał. Nagle w nocy z pierwszego na drugi dzień Zielonych Świąt morze wzburzyło się nadzwyczajnie i całe miasto wraz z mieszkańcami i wszystkimi skarbami w głąbinach swych pochłonięto. Ta stara legenda mówi, że w pierwszy dzień Zielonych Świątek można to miasto zobaczyć i podziwiać pałace i piękne domy, strojnych panów po ulicach chodzących i „panny załotne“. Zbliżyć się jednak do tej zjawy nie wolno. Nieraz się zdarzyło, że rybak niejedną podpłynął bliżej, ale już więcej nie wrócił. Także i dzwony kościelne tego dnia słychać. Wreszcie pod wieczór wśród wichrów i burzy cały ten obraz niknie.

Piękna legenda. Wróćmy jednak do rzeczywistości. Wprawdzie w starym

Helu był kościół, ale przy budowie nowego wzniesiono w nim również świątynię pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, przy której był proboszcz. W r. 1453 Kazimierz Jagiellończyk oddał Hel Gdańszczanom, toteż z biegiem lat mieszkańcy miasta ulegli zniemczeniu, a gdy Niemcy ogarnęła herezja Hel porzucił również wiarę przodków i przeszedł na luteranizm. Ponieważ prawo patronatu nad kościołem w Nowym Helu przeszło na Gdańsk więc w r. 1526 odebrano go katolikom i oddano luteranom. W 50 lat później spalił się on, a luteranie wybudowali sobie nowy. Również kościół w Starym Helu smutnie przechodził koleje. Istniał on od najdawniejszych czasów. Przez długie lata był kościołem parafialnym, pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny i służył z cudownego Jej wizerunku.

Opowiadają, że przed laty zasłynął cudami wizerunek Matki Boskiej, w pobliskiej wiosce nadmorskiej Swarzewie. Ponieważ nie było tam kościoła pobożni rybacy i żeglarze przenieśli wizerunek do kościoła w Starym Helu. Gdy na Hel doszła wieść o wielkich cudach dziejących się w Swarzewie na miejscu, gdzie znaleziono figurę rybaka helskiego wzniesli tam kościół. Do tego to kościoła przeniesiono cudowny wizerunek z początku XVI wieku, gdy fanatyczny luteran napadł na kościół w Starym Helu i wyrzucił go stamtąd. Od tego czasu kościół w Starym Helu podupadał coraz bardziej. Z biegiem lat nie pozostało z niego śladu. A ponieważ kościół w Nowym Helu przeszedł w ręce luteran, nieliczni katolicy z Nowego i Starego Helu chodzili do ostatnich niemal czasów modlić się do kościoła parafialnego w pobliskiej Jastarni.

Przez długie lata miasto Hel należało do Gdańska. Później zmieniało dość często swych panów. W r. 1577 przybyła tu z oddziałem wojska Ernest Wejher i zmusza mieszkańców do złożenia przysięgi na wierność Batoremu. W 1626 admirał szwedzki Carlson żąda od Helu hołdu dla Karola Gustawa. Ostatnie to znacznie większe wydarzenie w dziejach miasta, które coraz bardziej podupada.

Ciekawy widok przedstawiał Hel przed laty kilkudziesięciu. Składał się on z jednej piaszczystej ulicy. W środku jej pełno powbijanych pali, na których suszyły się sieci rybackie. Po obu stronach ulicy małe, schludne, domki rybackie, zbudowane po większej części ze szczątków rozbitych okrętów. Ktoś pisał o ówczesnym Helu: „Nieraz w tych drzwiach ocieżałyś rozpoznasz ster stary okrętowy: tam ów chlewik to koszt masztowy, w którym majtkowie w górę się podnosili. Mówią, że tutejsza chata może i sto tysięcy talarów kosztowała dawniejszych panów“.

Dzisiaj tak na Helu jak i w innych miejscowościach, o których mówiliśmy wiele się zmieniło. Mimo to pozostało im wszystkim wiele uroku i malowniczości, których źródłem jest nienurzmione przez człowieka morze. a. k.

NAJLEPSZY DOWCIP

W Berlinie opowiadają, sobie że autorem wszystkich niemal złośliwych anegdot i dowcipów politycznych na temat Hitlera jest żydowski publicysta, niejaki Neumann.

Hitler wzywa go tedy do siebie i zaczyna pytywać.

— Czy to prawda, że pan jest autorem tego najnowszego dowcipu? — pyta Hitler. — cytując mu treść tegoż.

— Tak jest, — odpowiada Neumann.

— A tego drugiego?

— Także ja.

Hitler wylicza mu kolejno jedną, drugą, dziesiątą anegdotkę, — a Neumann za każdym razem potwierdza swoje autorstwo.

— A więc pan, mówi wreszcie Hitler grzmiącym głosem, — że jestem wodzem 65 milionów ludzi?

Na to Neumann:

— Ten ostatni dowcip — to już nie odemnie wyszedł..

Słońce najpotężniejszym motorem

Mało, który z Czytelników zdaje sobie sprawę z tego, w jak wielkiej mierze życie każdego stworzenia na ziemi związane jest ze słońcem.

Postaramy się w kilku słowach wykazać, co zawdzięczamy słońcu i jaką rolę odgrywa ono w naszym życiu. Pominie tu sprawę życia roślin i zwierząt, ograniczając się jedynie do funkcji słonecznych związanych z człowiekiem.

Nasze pożywienie, prawie w całości, składa się z potraw gorących. Musimy je gotować, lub zagrzać, do czego potrzebny jest węgiel lub drzewo.

Przed wiekami słońce nagrzewało potężne rośliny dżungli, które rozrastały się i upadały zasypywane naniesionymi przez wieki pokładami ziemi, czy to przy pomocy wiatrów, czy trzęsień ziemi, tworząc w ten sposób pokłady dzisiejszego węgla.

Bez węgla nie mogłaby istnieć nasza, tak wysoko stojąca technika, o tem każdy wie. Każdy również zdaje sobie sprawę z tego, że nawet tak prosta na oko turbina wodna jest związana ze słońcem.

Według obliczeń Maury'ego, w okolicach równika słońce wyparowuje wodę morską, której ilość zmieściłaby się w prostopadłości o długości 40.000 km, szerokości 5.500 km, a wysokości 3 metry. Te potworne ilości wody wznoszone są do chmur.

Zatem nie byłoby deszczów, a w konsekwencji rzek, gdyby nie błogosławiona działalność promieni słonecznych.

GDYBY BRAKŁO WĘGLA, DRZEWA ROPY NAFTOWEJ...

Wyobraźmy sobie teraz co by było, gdybyśmy nagle stanęli przed faktem wyczerpania się w zupełności pokładów węgla, drzewa i ropy. Stanęłyby wszystkie urządzenia nowoczesne, nie byłoby komunikacji kolejowej, autobusowej, czy samochodowej.

To rzuci się samo w oczy, bo wiemy o bezpośredniej użyteczności węgla w maszynie parowej, a ropy, bądź też jej produktów w silniku samochodowym. Ale nie byłoby również i światła elektrycznego, bo wszystkie elektrownie stanęłyby spowodu braku węgla. Pozostałyby ludzkości tylko elektrownie, poruszane siłą wody, ale tych byłoby zaledwie na opędzenie wszystkich potrzeb techniki.

Jednym słowem stanęlibyśmy przed początkiem zagłady naszej cywilizacji z której tak się zresztą pyszniłyśmy. I oto rodzi się konieczność wynalezienia jakiegoś innego źródła energii, — źródła, któreby wyczerpało się dopiero z chwilą końca całego naszego kosmosu.

Takim źródłem energii mogłoby być tylko słońce, — motor życia, z którego śmiercią zginie ziemia, a z nią i ludzie.

PRÓBY BEZPOŚREDNIEGO CZERPIANIA ENERGII ZE SŁOŃCA

W chwili obecnej jednak bardzo nikt nie sa jeszcze wyniki wyzyskiwania ciepła słonecznego wprost ze słońca. Takim przykładem mogą być ogromne wkłesłe zwierciadła, zapomocą których w krajach tropikalnych inżynierowie skierowują promienie słońca na rury z wodą. Woda w takich rurach paruje, a para służy do napędu.

Wszystkie te jednak metody bezpośredniego wyzyskiwania energii słonecznej można nazwać jedynie próbami, tak jak i obecne sposoby są tylko

w dalszym ciągu próbami, choć w szerszym zakresie.

Nie można bowiem nazwać zużycowaniem energii promienistej słońca pracy motoru słonecznego w Kairze którego dzielność wyraża się skromną cyfrą 4 procentów, podobną dzielność wykazuje tak zwany Eneasz — Motor w Pasadenie.

Znacznie lepsze w użyciu okazały się motory Claua i Boucherot'a. Zasada działania tych motorów polega na zaobserwowanym fakcie nagrzania się pod wpływem promieniowania, w okolicy równika, powierzchniowej warstwy wody do temperatury nawet powyżej 25°C (głębiej temperatura wody jest bliska 0°C).

Wodę ciepłą z powierzchni morza tłoczmy do kotła, z którego uprzednio wypompowano powietrze, celem doprowadzenia wody do stanu wrzenia już przy 25°C.

Z kotła para dostaje się do turbiny, w której zastosowano kondensację wodną zapomocą wody zimnej z głębin morskich. Oczywiście wodę zimną trzeba znowu tłoczyć, zużywając przy tem pewną ilość energii.

Okazało się, że całe to urządzenie,

jakkolwiek b. drogie, pracuje z lepszą dzielnością ogólną, niż zwyczajne motory słoneczne, zbudowane na zasadzie zwierciadeł. Takie pierwsze urządzenie zbudował Claude i jego współpracownik Idrac na wyspie Kubie w r. 1930.

KOTŁY Z KWARCU

Wspomnieć tu wypada o pomysły prof. Goddard'a. Mianowicie zbudował on model słonecznego motoru, składający się z olbrzymiego zwierciadła, które skupia promienie słońca, i z kotła kwarcowego, celem skuteczniejszej przenikliwości dla promieni świetlnych widma, nie ulegających przytem rozpraszaniu, ani pochłanianiu. W wodzie jest rozpylona odrobina rtęci. Celem intensywniejszego pobierania ciepła. Para powstająca w tym kotle odprowadzona zostaje do turbiny parowej.

Niemniej ciekawym jest pomysł wynalazcy niemieckiego Richtera, polegający na tej okoliczności, że woda paruje przy 25°C, przy odpowiednim niskim ciśnieniu. Richter zamierza zbudować system rur, w których ciśnienie jest niskie i odprowadzić do nich wodę nagrzaną przez słońce. Woda odprowadzana do rur zimnych parowa-

łaby, stwarzając prąd pary wodnej, który możnaby zużytkować.

KOMÓRKA ŚWIATŁOCZUŁA MOTORU

Najlepszym jednak zużycowaniem energii promienistej słońca, byłoby zużycowanie jej przy pomocy komórki światłoczułej. Wiadomo, że światło padające na komórkę światłoczułą powoduje powstawanie prądu elektrycznego. Gdyby się nam udało zbudować jakąś specjalną komórkę, taką, by potrafiła w szerszej mierze, niż to jest dotychczas, przetwarzać światło na prąd, — wtedy mielibyśmy najlepsze rozwiązanie zagadnienia.

Motor słoneczny przyszłości będzie się musiał składać z takich komórek, gdyż będzie to najekonomiczniejsze przetwarzanie energii promienistej na elektryczną. Wtedy byłby rozwiązany odrazu problem lotów międzyplanetarnych.

Oto bez najmniejszego balastu materiałów pędnych ruszylibyśmy w przestrzeń. Wtedy też nie byłaby dla nas straszną myśl, co będzie z wyczerpaniem się źródeł energii ziemskich — ropy i węgla.

Spokojnie moglibyśmy patrzeć w przyszłość.

H. KURON

„Skazana na śmierć“

Pod powyższym tytułem ogłosiła swoje wspomnienia z czasów wojny światowej Luiza Thuliez. Książka wyszła prawie równocześnie po francusku i po angielsku, a ni mniej, ni więcej, tylko generał Weygand zaszczylił ją przedmową.

Któż to jest — panna Thuliez? Należała do grupy ludzi, którzy w okupowanej przez Niemców Belgii ułatwiali przedostanie się przez granicę żołnierzom belgijskim lub ludziom, chcącym dostać się w szeregi jednej z armii koalicyjnych.

Zajęcie Belgii przez Niemców polegało na zaskoczeniu. Rozpaczliwy opór łamała przewaga liczebna, wsparta potężną artylerią i najeżdżący błyskawicznie posuwali się naprzód. Nic dziwnego, że w takich warunkach nie tylko nie ewakuowano mężczyzn, obowiązanych do służby wojskowej, ale i ilość owych żołnierzy, których od niedobit-

ków armii belgijskiej odcięła linia frontu, była o wiele większa, niż się przypuszcza. Zresztą i po innych wojskach koalicyjnych pozostawali maruderzy.

Tak np. odwrót angielski z terytorium belgijskiego był szybki i częściowo bezładny. Poza linią niemiecką znalazły się grupki, które jednak nie zawsze chciały się poddać. Jedną z nich, złożoną z czterdziestu ludzi pod dowództwem porucznika Bushella poszukiwała schronienia w lesie Mormal, gdzie wybudowała sobie ośm szałasów i utrzymała się do grudnia 1914 roku. Panna Thuliez zbierała dla tych straceńców żywność i przekradała się do nich z transportami. Rola jej pozostała tajemnicą dla Niemców, gdy ich wykryli i wzięli do niewoli.

Panna Thuliez wychowała się pośród wspomnień nieszczęsnej wojny 1870 roku, która w swym ostatnim stadium była — poza oblężeniem Paryża — partyzantką. Z zawodu nauczycielka,

gorzała patriotyzmem, który wpajała dzieciom. Postanowiła poświęcić się podziemnej pracy, choć zdawała sobie sprawę, że stawia życie na kartę. Wkrótce też weszła do organizacji, do której należała sławna Miss Cavell (dzisiaj uczczona pomnikiem w Londynie). Celem było wysyłanie poborowych belgijskich do Holandji, skąd mieli wolną drogę do Francji. Prócz nich korzystali z tej pomocy zbiegli jeńcy i ukrywający się żołnierze koalicijni. Panna Thuliez działała pod przybranym nazwiskiem pani Lejeune i prowadziła tym sposobem podwójne życie.

Jak wiadomo, władze niemieckie wpadły na trop organizacji wskutek kartki lekkomyślnego Anglika, który doniósł Miss Cavell, że dotarł szczęśliwie do miejsca przeznaczenia. Pod koniec lipca uwięziono rzeźmą panią Lejeune, która musiała przyznać się do prawdziwego nazwiska. W niecały tydzień później aresztowano i Miss Cavell, którą umyślnie pozostawiono dłużej na wolności, aby ją obserwować.

7 października rozpoczął się proces przed sądem wojennym. Oskarżonych było 35 osób. Panna Thuliez nie wypierała się winy, powtarzała tylko ustawicznie dwa słowa: „Jestem Francuską“. Należała do pięciu osób, skazanych na śmierć.

Filipa Baucq i Miss Cavell rzeczywiście rozstrzelano, panna Thuliez należała do tych, którym karę śmierci zamieniono na dożywotnie ciężkie roboty. Z wyrafinowaniem okrucieństwem nie ogłoszono jej tego natychmiast i dopiero 8 listopada dowiedziała się o swoim losie z przemyconego do więzienia numeru La Belgique.

Resztę książki wypełniają wspomnienia więzienne. Na krótko przed zawieszeniem broni panna Thuliez odzyskała wolność razem z 600 innymi „przestępcami“ i wróciła do Lille, którego przeszło połowa leżała w gruzach.

N. P.

Błękitna i bardzo miła książeczka

Skromnie i gustownie oprawiona. Na błękitnej okładce białymi nutami wypisane dwa urywki muzyczne znanych pieśni: „Po nocej rośnię“ — Moniuszki i „Życzenia“ Szopena. Ta okładka mówi już o treści książeczki, noszącej tytuł: „Dwaj Mistrzowie“. Wewnątrz książeczki dwa doskonałe portrety: Szopena i Moniuszki. W słowach prostych, niewyszukanych a z sercem płynących — opowiada autorka książeczki p. Janina Gillowa o młodości obydwu geniuszów, o rozwoju tych dzieci, które już w wczesnej młodości wykazywały swe niepospolite zdolności i to wielkie umiłowanie ojczystych pieśni, wśród których wzrastały.

Czytamy tedy o przeżyciach małego Frycka, o jego niewinnych figlach, znamionujących obok talentu muzycznego — talent rysunku i wierszowania, o jego pierwszych młodzieńczych triumfach, o studiach i przeżyciach do chwili pożegnania ojczyzny i wyjazdu zagranicę.

A dalej w podobny sposób ujęty — następuje wdzięczny i barwny opis dzieciństwa młodego Stasia, późniejszego twórcy polskiej opery narodowej, któremu w chwili urodzenia jaskółka świetlaną wywróżyła przyszłość.

Czytając te słowa o dzieciństwie tych — tak nam drogich muzyków — wzywa się czytelników w owe odległe czasy, a im da-

lej czyta, tem więcej serce jego przepelnia się błogiem uczuciem radości i dumy a zarazem umiłowania tych postaci z których jedna stała się jakby ambasadorem Polski na forum międzynarodowym a druga nauczyła nas cenić i kochać narodową nutę.

Jakże miły i wdzięczny temat obrała autorka książki tej do swych opowiadań dla młodzieży. Książka bowiem przeznaczona jest właśnie dla tej młodej latorośli, której potrzeba jaknajwięcej takich książek, opowiadających w sposób przystępny, miły i interesujący o tych, których polskie serca uwielbiać winny.

Zaletą tej książeczki jest też jej wartość pedagogiczna, bo każdy szlachetny rys charakteru obudwu mistrzów — uwidatniony jest naleyście i szlachetnością chwytła za serce.

Toteż podkreślić należy wielką zasługę autorki i warszawskiego wydawnictwa „Książek Błękitnych i różowych“ pod redakcją p. Janiny Kwiatkowskiej, które wysyłając w świat te opowiadania z życia Szopena i Moniuszki, zasililo dział literatury dla młodzieży pracą celową i niesfety rzadką.

Jestem pewny, że ani św. Mikołaj, ani aniołek w dzień wigilijny o błękitnej książeczce p. Gillowej nie zapomni.

W. Hausman

Najpiękniejsza i najciekawsza planeta (Saturn i jego dziewięć księżyców)

Bezsprzecznie najpiękniejszą planetą naszego układu słonecznego, jest szósta z rzędu planeta — Saturn. Gwiazda ta była pozatem ostatnią jaką znano w starożytności. Na niebie dostrzegalną jest okiem nieuzbrojonym jako gwiazda pierwszej wielkości. Saturn, zasłużył sobie w zupełności na miano najpiękniejszej planety, (nie uwzględniając naszej staruszczy ziemnej) ponieważ wyróżnia się pierścieniem, a względnie kilkoma pierścieniami otaczającymi go dookoła. Zjawisko niespotykane na innych planetach.

Przypatrzmy się bliżej owej planecie. Jako szósta z rzędu planeta naszego układu słonecznego, zakreśla Saturn znacznie dłuższą drogę eliptyczną dookoła słońca, niż Ziemia. Z okresem tej drogi idzie w parze długość roku, który na Saturnie wynosi „tylko” 353 miesiące i 17 dni, t. zn. 29 lat ziemskich i 167 dni.

Średnia odległość Saturna od słońca wynosi 1424 milionów km., zaś odległość Saturna od ziemi zmienia się w granicach ok. 300 milionów km. Zmiany te jednak są tak małe, że prawie nie wpływają na widoczność tej planety z ziemi, oraz jej jasność. Wogóle jasność i widoczność Saturna z ziemi zmienia się w granicach zaledwie dwu klas.

Co do wielkości, Saturn jest drugą z rzędu (po Jowiszowi) planetą naszego układu. Średnica równikowa Saturna liczy sobie 119.300 km. długości (średnica równika ziemi, równa się 12.746 km.). Masa Saturna, która jakkolwiek ogromnie przewyższa znacznie masy wszystkich pozostałych planet, nie jest tak wielka, jakby to wynikało z rozmiarów tej planety, ponieważ jest ona najmniej skoncentrowana ze wszystkich planet naszego układu słonecznego.

Średnia gęstość masy Saturna, wynosi 0.13 średniej gęstości masy ziemskiej, a w stosunku do średniej gęstości wody, tylko 0.73. Jeżeli chodzi o wielkość porównawczą masy Saturna z masą ziemi, to ta ostatnia jest 91, 92 razy mniejsza od masy Saturna, jakkolwiek objętościowo Saturn jest 710 razy większy od ziemi.

Mała ta stosunkowo gęstość masy Saturna, wypływa stąd, że planeta ta składa się w większości z gazów, i jeżeli nawet istnieje jądro stałe (ostatnie badania wykazały, że istnieje) jest ono jednak jeszcze małe i słabo skondensowane.

Światło Saturna jest światłem odbitym od kondensacji atmosferycznych, za czym przemawia sam wygląd tarczy Saturna, najjaśniejszej w środku, ku brzegom zaś ciemniejszy.

Badania spektroskopowe Saturna, wykazują linie absorpcyjne w części czerwonej, podobne do linii Jowisza, pozatem występują prążki, jakie znamy z dnia słonecznego.

Opierając się na powyższych danych, dochodzimy do wniosku, że atmosfera Saturna, podobna jest do atmosfery Jowisza, ilość światła jaka dochodzi ze Słońca do Saturna, wynosi zaledwie 1/100 część światła odbieranego przez ziemię. Na Saturnie musi istnieć własne źródło ciepła, ponieważ trudno sobie wyobrazić, by zmiany jakie zachodzą w atmosferze tej planety n. p. zmienność plam i t. p. były następstwem samego ciepła słonecznego. Zależna zaś jasność Saturna od fazy, dowodzi, że nie posiada on własnego światła.

Toby było mniej więcej wszystko, co w ogólnych zarysach można powiedzieć o Saturnie. Bardziej ciekawym zjawiskiem, absorbującym umysł astro nomów, są pierścienie Saturna. Układ kilku pierścieni, jakie dają się zaobserwować na tej planecie, są jedynym zjawiskiem w naszym układzie słonecznym. Pierścień Saturna został zaobserwowany już przez Galileusza, później zaś przez Huyghensa.

Przez długi okres czasu nie umiano wytłumaczyć sobie natury pierścieni Saturna, oraz roli jakie one spełniają. Powstało wiele hipotez, oczywiście dowolnych, jak n. p. według Laplace'a, pierścień Saturna tłumaczy powołanie planet i księżyców.

Zasadniczo odróżniamy trzy główne pierścienie, a to: pierścień zewnętrzny (a) — najjaśniejszy ze wszystkich, pierścień środkowy (b), oddzielony od pierścienia, a przerwą Cassini'ego, (nazwaną imieniem odkrywcy), oraz pierścień wewnętrzny (c), t. zw. „Crape ring”, świecący światłem, jakby przyćmionym krepą. Na pierścieniu a, widoczna jest jeszcze przerwa Euckego. Układ pierścieni od powierzchni Saturna, zaczyna się w odległości 9400 km., kończy się zaś w odległości 71.900 km. Szerokość więc wszystkich pierścieni wynosi 62.500 km.

Sama przerwa Cassini'ego jest szerokością 3650 km. Jeżeli chodzi o grubość pierścieni, to ta stosunkowo jest

bardzo mała i wynosi zaledwie 200 km.

Masa wszystkich pierścieni, obliczona przez Tisseranda, wynosi 1/100 część masy Saturna. Średnia gęstość masy wszystkich pierścieni, wyrażona w ciężarze właściwym równa się 0.7, z czego wnioskujemy, że materia pierścieni jest mało skoncentrowana.

Fizyczna budowa pierścieni Saturna nie została jeszcze dokładnie zbadana, w każdym razie należy przypuszczać, że pierścienie te składają się z drobnych pyłków materii, podlegających prawom Keplera. Tak przynajmniej potwierdziły powyższą hipotezę badania Mayera i spostrzeżenia Kirkwooda.

Pozatem badania widmowe Keplera, potwierdziły hipotezę orzekającą o księżycowo — meteorycznej budowie pierścieni Saturna. Przypuszczenia te pokrywają się ze spostrzeżeniami Cassini'ego i Maxwella, którzy starali się dowiedzieć, że pierścienie Saturna składają się z drobnych satelitów obiegających planetę, a położonych tak blisko siebie, że robią wrażenie pierścienia.

Czas obrotu pierścienia dookoła Saturna, obliczony według Herschela, wynosi 10 godzin, 32 min. i 15 sek., wedle zaś Keplera i Maxwella, czas obrotu pierścieni posiada znaczenie względne; i tak okres obrotu wewnętrznych części pierścieni wynosi 11.5 godz. a części zewnętrznych — najodleglejszych 11. 6.

Prócz układu pierścieni, obiega jesz-

cze dookoła Saturna 9 księżyców. Ciąta te są tak małe, że trudno są dostrzegalne

Jedynie szósty z rzędu księżyc jest największy i najjaśniejszy, on też został pierwszy odkryty w r. 1655. (W latach dziewiętnastych, odkryto dziesiąty z rzędu księżyc Saturna, jednak z powodu jego rozmiarów, bardzo małych, nie jest brany pod uwagę.)

Badania czynione nad księżycami Saturna, są niezwykle utrudnione, ponieważ są one widoczne jedynie jako świetlne punkty, nie zaś tarcze. Z całej tej plejady księżyców ośm otrzymało nazwę, a więc: Mimas, Enceladus, Tetys, Dione, Rhea, Tytan (największy), Hyperion i Janet.

Masy tych księżyców, oraz ich wielkość razem wzięte, nie przewyższają masy i wielkości księżyca ziemskiego. Pod względem fizycznym, księżyc Saturna tak różniący się między sobą, jak i w stosunku do swej planety. Okres obiegu ich dookoła Saturna jest różny i opiera się jedynie na hipotezach, których ze względu na ich różnorodność nie będę przytaczać.

Tyle co o Saturnie najogólniej powiedzieć można. Najpiękniejsza ta planeta, kryje w sobie jeszcze niezbadane tajemnice, Setki teleskopów wycelowanych w niebo stale pilnie dają baczenie, na wszystko co się dzieje w wszechświecie. Myśl ludzka wylata po przez przestrzenie międzyplanetarne, hen ku gwiazdom. Wiecznie tajemnicza zagadka wszechbytu dręczy umysł uczonych, którzy w niezmordowanym trudzie zagadnień naukowych starają się dojść prawdy. (t. k.)

Praca kobiet w radio

Předewszystkiem należy omówić pracę kobiet przy nadawaniu audycji w rozgłośniach. Zaczniemy od speakerów jako najliczniej reprezentowanych. Rekrutują się one przeważnie ze świata teatralnego i muzycznego, gdyż wymagania stawiane speakerom są duże — a zawód przez nich wykonywany trudny. Brzmienie ich głosu w mikrofonie musi być mile. Poza tem wymagania co do ogólnego wykształcenia w dziedzinie literatury i muzyki, a także języków obcych, są znaczne.

Praca ich wymaga wielkiej przytomności umysłu, opanowania nerwów i orientacji w skomplikowanych urzą-

dzeniach stacji nadawczej, aby w razie jakiegokolwiek defektu, zmiany programu lub przeoczenia nie stracić zimnej krwi i równowagi, tak w stosunku do wykonawców jak i radiosłuchaczy ogromnie wrażliwych i reagujących stołem listów do rozgłośni, za wszelkie odchylenia w czasie audycji.

Jeżeli chodzi o dział programowy, to należy stwierdzić, że z inicjatywy kobiet powstały działy kobiece w radio. Również dział audycji dla dzieci jest monopolem kobiet, które ten dział prowadzą ku zadowoleniu naszych „milusińskich”, gdyż z natury rzeczy mają one najwięcej styczności z dziećmi i najlepiej odczuwają psychikę

dziecka.

W Polsce mamy wiele poważnych autorów utworów literackich czy słuchowisk, pisanych specjalnie dla mikrofonu, względnie radiofonizowanych z utworów autorów innych. W dziale reżyserji, czy to operetek czy też słuchowisk dla dzieci mamy w Polsce siły kobiece na tem polu nie do zastąpienia. W dziale administracji ogólnej i programowej są kobiety licznie reprezentowane na stanowiskach sekretarek w poszczególnych działach programowych.

Najwięcej kobiet pracuje w fabrykach radiowych, a to przy budowie sprzętu radiowego i aparatów, lamp katodowych itp.

Aparat radiowy, lampa radiowa jest przeważnie dziełem rąk kobiecych, które przy wykonywaniu tak delikatnej roboty mają zdecydowaną przewagę nad mężczyzną. Lekkość i sprawność ich rąk, wytrwałość przy spełnianiu jednej tylko czynności — sprawiły, że w każdej fabryce radiowej (zagranicą) większość personelu robotniczego stanowią kobiety. Przy nawijaniu cewek, lutowaniu, składaniu kondensatorów, transformatorów, dławików itp. pracują tylko kobiety. Nawet przy ostatecznej kontroli lamp, aparatów również one pracują. Siedzą obok siebie w olbrzymich hałach fabrycznych, tylko pasy przesuwające się automatycznie podają wykonaną pracę od jednej robotnicy do drugiej.

Bardzo ciekawa, a wymagająca ogromnej zręczności w palcach jest praca około fabrykacji lamp katodowych. Okrągłe, dookoła swej osi obracające się piece gazowe podają automatycznie różne części składowe lamp katodowych a to: donaki, siatki, włókna, cokoły z nóżkami. Części te trzeba w palcach odpowiednio wygiąć włożyć w bańkę szklaną i po wypompowaniu powietrza, hermetycznie zatopić. Jest to robota bardzo delikatna i subtelna, gdyż od dobroci wykonania zależy sprawność fabrykatu, kobiece palce wykonują to zadanie najlepiej!

S. K. W.

Poezja polsko-lacińska XVI w.

Najstarszy w Polsce filolog klasyczny, prof. Uniw. dr. Ludwik Cwikliński, któremu, jako założycielowi, pierwszemu i obecnemu prezesowi Polskiego Towarzystwa Filologicznego, świat naukowy złożył z początkiem br. hołd z powodu 80-lecia jego urodzin i innych rocznic, łączących się z 40-leciem PTF, wydał świeżo pracę pod tytułem „Przyczynki do historii poezji polsko-lacińskiej w. XVI. (Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Praca Komisji Filologicznej, t. VI zesz. 4, s. 26). Świadczy ona, że mimo rozpoczęcia w lipcu br. 82 roku życia, sędziwy wydawca pomnikowej edycji poematów Janicjusa (w VI tomie Corpus antiquissimorum poetarum Polono Latinorum, Kraków 1930), nie ustaje w pracy naukowej, dopóki sił starczy.

W pierwszym rozdziale omawia zapiski w Aktach Kapituły poznańskiej z r. 1536, mające znaczenie dla biografii poety Klemensa z Januszkowa (Januskovius), którego zwykle nazywamy Janickim, choć tego nazwiska nie wyniósł z chaty rodzinnej. On wraz z przyjacielem Stanisławem z Ciechanowa są wymienieni w aktach jako autorzy pamfletów na kanoników poznańskich. Cwikliński ustala jego tożsamość z

Stanisławem Nigrem Chrościeskim.

W drugim rozdziale wykazuje, że kanonik lwowski, Andrzej Lubelczyk w swoim dziele z roku 1543 „Bellum Theologicum” korzystał z satyry Janicjusa, wyśmiewającej rozmaitość i niestałość odzieży u Polaków (wyd. dopiero 1563). Musiał więc ją znać w rękopisie.

Trzeci rozdział zawiera wiązanek drobnych wierszy lacińskich z pierwszej połowy w. XVI, zawartych w Codex miscellaneus, zabranym niegdyś z Biblioteki Żaluskich do Petersburga i przed paru laty zwróconym na mocy traktatu Ryskiego (obecnie w Bibliotece Narodowej). Obok prozy zawiera epigramy i drobiazgi dystychiczne różnej treści i różnego pochodzenia. Wydawca nie wcielił ich do edycji poezji Janicjusa, gdyż żadnego z nich nie można z pewnością przysądzić temu poecie. Osobne ich wydanie w omawianej pracy umożliwi czytelnikowi decyzję, które wiersze ewentualnie można by zaliczyć do utworów Janicjusa. Nadto może posłużyć do wypełnienia obrazu literatury lacińskiej, powstałej albo — choć obcej — rozpowszechnionej w Polsce.

espe.